

Michał Paweł Markowski

Nieswój po swoje

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (76), 241-246

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Michał Paweł MARKOWSKI

Nieswój po swoje

Lege et quod vis fac
Pseudo-Augustyn

Mój referat *Interpretacja i literatura*, wygłoszony na jubileuszowej i sumującej polskie wysiłki teoretyczne konferencji w Krasicy (a następnie w poprawionej i rozszerzonej wersji opublikowany w 5 numerze „Tekstów Drugich” z 2001 roku) wywołał, jak się okazało, „sprzeciw a nawet konsternację”¹. Przysłuchujący się dyskusji późniejszy sprawozdawca słusznie zauważył, że „zwracano uwagę przede wszystkim na burzycielski charakter [...] wystąpienia. Na plan dalszy zeszyły etyczne konsekwencje [t]ego projektu”. Miał rację. Tezy referatu dotyczyły nieograniczonej swobody interpretacji, a tam, gdzie mowa jest o nieograniczonej swobodzie, budzi się konsternacja. Ma rację także i w tym, że dyskusja ominęła wymiar etyczny, dotyczący interpretacji, choć implikacje były oczywiste. Główna moja teza brzmiała następująco: jeśli literatura jest sferą absolutnej swobody powiedzenia wszystkiego, to i w odpowiadającej jej sferze lektury (czy można myśleć o istnieniu literatury bez lektury?) taka swoboda powinna być bezwarunkowo (któż bowiem miałby owe warunki ustalać?) zagwarantowana. Jeżeli, myślałem sobie prostacko, każdy ma prawo pisać to, co chce i jak chce, to niby dlaczego takiego prawa pozbawiony jest czytelnik? Na to oczywiście odzywają się głosy sprzeciwu, że przecież teksty pisane są w określonych konwencjach, posłuszne określonym wymogom, więc i czytelnik musi owe wymogi spełniać, by właściwie aktualizować wpisany w teksty scenariusz i tak dalej, i tak dalej. Przyznaję, że w obliczu takiej argumen-

¹/ A. Skrendo XXX *Konferencja teoretycznoliteracka, czyli jubileusz i spory*, „Teksty Drugie” 2001 nr 5, s. 199.

tacji poczułem się nieswojo, bo oznaczało to, że mnie nie bardzo poważnie potraktowano, uznając, że może przypadkiem tego wszystkiego nie wiem i należy mi pewne oczywiste „metodologiczne fakty” przypomnieć. Spieszę więc donieść, że nie tylko znam lekturowe wymogi tekstów, ale nawet ich surowo przestrzegam zarówno wtedy, gdy sam czytam literaturę (i o niej piszę), jak i wtedy, gdy rozmawiam o tym z moimi studentami. Mówię to głównie po to, by uspokoić zatroskanego czytelnika mojego tekstu, Tomasza Kunza, który okropnie się zdenerwował, że pisząc mój tekst sprowadzam na manowce polonistyczną młodzież, która wiedzioma „nieokiełznaną wyobraźnią” zacznie w ramach seminaryjnych zatrudnień wygadywać/wypisywać banialuki, powołując się na swoje prawo do nieskrępowanej swobody użycia tekstu”². Otóż formułując takie zastrzeżenie Kunz dowodzi całkowitego niezrozumienia mojego tekstu, w którym odróżniłem bardzo wyraźnie demoniczne użycia od skrupulatnych egzegez, wyraźnie mówiąc, że te drugie podają się całkiem prostym sprawdzianom (na przykład na seminarium), co nie znaczy, że z g ó r y, z a n i m jeszcze określimy reguły obowiązujących nas odczytań, nie mamy prawa a b s o l u t n e j s w o b o d y w wyborze owych strategii. Reguły owego wyboru, zgoda, są instytucjonalne, zinstytucjonalizowana jest pewnie też sama decyzja, nie oznacza to jednak, że rzeczywiście w polu lektury takiego wyboru nie mamy. Powiem wyraźnie: odróżniłem *quasi*-transcendentalne pole decyzji, któremu przyznałem przywilej absolutnej swobody od empirycznych strategii, które nie tylko rządzą się określonymi, wyraźnie sprecyzowanymi regułami, ale też nakładają na nas rozliczne obowiązki (na przykład wtedy, gdy ktoś będzie nawoływał do gwałtów lub kogoś poniżał). Kto tego nie dostrzegł, nie zrozumiał nic z mojego tekstu. Owszem, ucieszyłbym się, gdybyś ktoś zarzucił mi, że przeprowadzenie takiej granicy nie jest możliwe, że sprawa jest bardziej skomplikowana, że trudno o wyrazistość dystynkcji, z czym bym się oczywiście zgodził mówiąc jednocześnie, że dlatego używam sformułowania „*quasi*-transcendentalne” etc., ale przecież Kunz niczego takiego ciekawego nie powiedział, tylko dalej w kółko te same argumenty, że młodzież biedna, bo każe jej banialuki wypisywać, ogłosiwszy wprzód koniec profesjonalizmu, że nie uznaje instytucjonalnych przymusów i że ciągle wpadam w pułapkę performatywną, glosząc co innego w sferze tez i co innego w sferze oczekiwań. Nie ma sensu jeszcze raz wracać do całej tej dyskusji. Chciałbym w zamian kilka słów poświęcić kwestii decyzji. O tym wprawdzie traktuje mój tekst *Przed prawem. Interpretacja, literatura, etyka*, opublikowany w tym samym numerze „Tekstów”, w którym Kunz ogłosił polemikę ze mną (nawiasem mówiąc: uważna lektura tego tekstu powinna rozwiać jego wątpliwości co do mojego nieodpowiedzialnego wolnomyślicielstwa), warto jednak niektóre rzeczy dopowiedzieć.

Jeśli pisarz w momencie podjęcia decyzji nie wie jeszcze, co i jak będzie pisał, wie zaś tyle tylko, że będzie pisarzem (co oznacza, że napisze jakiś tekst), tak czy-

² T. Kunz *Swoją do swego po swoje?* (Kilka uwag do tekstu Michała Pawła Markowskiego), „Teksty Drugie” 2002 nr 1/2.

Markowski Pozytywista z krwi i kości – Zbigniew Przybyła

telnik, w momencie podjęcia decyzji lekturowej nie wie jeszcze, co i jak będzie czytał. Wie mianowicie tyle tylko, że będzie czytał, bo podjął taką decyzję. Gdy, na przykład, biorę do pociągu *Młodzika* Dostojewskiego, to nie wiem jeszcze, czy będę czytał tę książkę tak, jak czyta się w pociągu, podążając za przebiegiem fabularnym (nie czytałem jeszcze *Młodzika* i nie wiem, o czym to w ogóle jest), czy też będę czytał ją jak znawca, który już przygotowuje się do napisania eseju o Dostojewskim. Mogę też w pociągu zabawić czytaniem samotną podróżniczkę, jak robił to niegdyś mój kolega, lekturą *Zoologii* Arystotelesa prowokując emablowaną przez siebie studentkę do erotycznego zbliżenia. Od razu więc, gdy sięgam po *Młodzika*, mam przed sobą kilka możliwości (których zresztą jest znacznie więcej, niż wymienilem), nie wiem natomiast, którą z nich wybiorę. Podjąłem już jednak decyzję i jest to decyzja, której mogłem nie podjąć. Mogłem przecież zdecydować, że jadąc pociągiem nie będę czytał, lecz gapił się przez okno albo spał, albo zabawiał znużoną podróżniczkę samym sobą. O ten właśnie wybór mi chodzi, w tym momencie mamy absolutną swobodę i nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się stanie w trakcie lektury. Za chwilę będzie już za późno, za chwilę do mojego przedziału wejdzie zrzędliva baba albo stetryczały dziad, albo nieznośne bliźniaki, albo poseł, albo dresiarz i będę musiał oddać się lekturom znawcy, by pracą umysłu zagłuszyć ich obecność. Przysnaję, że ten właśnie moment – moment, w którym podejmuję decyzję o samym czytaniu, a nie o tym, jak będę czytał – jest najwspanialszym momentem w mojej biografii czytelnika. Moment, w którym wiele się jeszcze może zdarzyć, moment, w którym ja sam nie wiem jeszcze, jakich użyję sposobów. Otóż uważam, że badania nad literaturą wiele zrobiły, by ów moment całkowicie wyeliminować z procesu lektury, by wszystko odbywało się, że tak powiem, już po herbacie, kiedy reguły zostały już ustalone i trzeba rygorystycznie przestrzegać protokołu. Za to właśnie obwiniam strukturalizm. Nie za to, że dostarczył nam wspaniałych narzędzi do pracy nad tekstem (to jego wielka zasługa), ale za to, że zniszczył przyjemność, która płynie z chwili podjęcia decyzji. Strukturaliści już zdecydowali, zdecydowali na zawsze, przez co odebrali sobie i innym radość chwili, w której wiele się jeszcze może zdarzyć. W ich tekstach nie zdarza się nic, bo nic nie zdarzyło się uprzednio i dlatego paradygmat strukturalistyczny musiał się wyczerpać po osiągnięciu granicy metodologicznego nasycenia. Produkowanie kolejnych narzędzi niczego nie zmienia, potrzebna jest natomiast głęboka zmiana postawy wobec tekstu. O tej właśnie zmianie myślę, gdy piszę o absolutnej swobodzie lektury. Gdybym z góry wiedział, jak czytać, nie podejmowałbym żadnej decyzji, a tylko realizowałbym uprzednio założony projekt, co prędzej czy później doprowadziłoby mnie do frustracji. Jeśli więc powiadam, że w sferze czytania obowiązuje absolutna swoboda, to teza ta dotyczy decyzji, którą podejmuję w obliczu tekstu, zanim jeszcze zgromadzę wokół niego słowniki terminów literackich. Można wybrać – by użyć kategorii zaproponowanych przeze mnie w przywołanym eseju – drogę pieczołowitych egzegez, można też postawić na kartę demonicznych użyć i nikt – naprawdę nikt – nie może się przed tym wyborem uchronić. To, że wszyscy literaturoznawcy wybierają starannie umotywowane egzegezy, świadczy

jedynie o tym, że tak postanowili charakteryzować swój zawód, choć świadczą także o tym, że z określonych względów wypierają (także, a może przede wszystkim, w znaczeniu psychoanalitycznym) tę drugą możliwość, gdyż podminowuje ona twardy grunt ochraniającej ich instytucji. Oczywiście, że wszyscy tak robimy (ja też, ja też...), bo inaczej nie zapraszano by nas na konferencje, nie przyznawano grantów, nie drukowano w „Tekstach Drugich”, ale nie jest to coś, co wynikałoby z natury rzeczy. Jest to wybór strategii czytania, który nam z różnych względów odpowiada, nie zaś przymus wynikający z konieczności. Dziwić się należy, dlaczego tak rzadko owa banalna oczywistość pojawia się w dyskusjach polonistycznych.

Powtórzę raz jeszcze. Jeśli mówię o absolutnej swobodzie wyboru, to lokuję ją w momencie decyzji i to chcę podkreślić szczególnie mocno. Albo wybiorę gest badacza i wtedy będę mnożył filologiczne skrupuły (bardzo to zresztą lubię), albo też – niepomny regułę profesjonalnego czytania – zabawię się z tekstem, tak jak będę miał na to ochotę i wtedy nikomu nic do tego (to też nie jest mi obce). Moment decyzji jest momentem etycznym *par excellence*, w związku z czym sfera absolutnej wolności interpretacyjnej ma swoje etyczne uzasadnienie w tym właśnie, że mogą być zarówno pieczołowitym egzegetą, jak i niefrasobliwym użytkownikiem. Ważne jest wszelako to, by owych ról ze sobą nie mieszać, choć z drugiej strony nie jestem wcale pewny, czy tego rodzaju rozdział jest – w tak kategorycznej postaci – w ogóle możliwy. Jest bowiem oczywiste, że każda egzegeza jest swoistym użyciem tekstu, a każde użycie – osobliwą egzegezą, zaś codzienna praktyka lekturowa rozgrywa się gdzieś pomiędzy pieczołowitością egzegez i niefrasobliwością (nad)użyc. Jeśli więc polaryzuję te stanowiska tak ostro, to jedynie ze względów heurystycznych, świadom tego, jak trudno je ujawnić w stanie czystym (jeśli w ogóle jest to możliwe). Wszelako nie ulega wątpliwości, że w sferze ponadjednostkowych praktyk obydwie te postawy mają osobne sfery uprawomocnienia, które z reguły się nie spotykają i surowi egzegeci z reguły z potępieniem patrzą na nieodpowiedzialne igrze swobodnych użytkowników, zapominając, że tamci nie grasują wcale na ich świetnie skądinąd obwarowanym terytorium.

Nie zmienia to jednak faktu, że wybór (a więc i decyzja) zawsze istnieje. Fakt, że literaturoznawcy nie biorą go pod uwagę, świadczy niestety o tym, że dobrowolnie pozbawiają się możliwości absolutnej decyzji, a przez to eliminują moment etyczny ze swojej pracy. Ten smutny wniosek tłumaczy, dlaczego w reakcjach na moje wystąpienie w Krasiczynie niemal nikt – poza kilkoma młodymi kolegami, którym jeszcze na czymś istotnym zależy – nie przejął się moją, nie tak nowu rewolucyjną, tezą, odsyłając ją do lamusa ekstrawaganckich poczynań, nienaruszających swą nieodpowiedzialnością poważnego charakteru dyscypliny. „Jak to – mówiono – wszystko ma być wolno? Już to słyszeliśmy i nas to nie rusza”. Fakt, że te anachroniczne argumenty powtarza Tomasz Kunz, budzi mój sprzeciw, a nawet konsternację.

Sytuacja jednak wygląda inaczej, niż się zwykle mniema. Uważam bowiem, że jeśli o etyce w badaniach literackich mamy w ogóle sensownie mówić, to nie kiedy indziej niż w momencie wyboru, który nieuchronnie pojawia się wtedy, gdy staje-

Markowski Pozytywista z krwi i kości – Zbigniew Przybyła

my w obliczu tekstu i zaczynamy decydować: jak go czytać? W miejscu tym musi panować bezwarunkowa swoboda, gdyż w innym przypadku nie z wyborem mamy do czynienia, lecz z uprzednio przygotowanym programem badań, który, owszem, jest niezbędny dla zwarcia metodologicznych szeregów, jednak kłóci się z samym czytaniem. To zaś, jeśli nie zapowiada przerastającej nasze przyzwyczajenia niespodzianki, czytaniem w ogóle nie jest. Jeśli tego nie bierzemy pod uwagę, to znaczy, że etyczne doświadczenie literatury jest nam z gruntu obce. Paradoks polega wszelako na tym, że to właśnie z tej strony – strony metodologów – padają najcięższe zarzuty przeciwko lekturowej dowolności, jako żywo przypominające upomnienia strażników moralności. Hipokryzja w badaniach literackich nie jest wcale zjawiskiem marginalnym.

Wracam do Kunza. Obnażywszy słabe miejsca mojej argumentacji, Kunz, niejako na deser, gwoli ostatecznego przygożdżenia, używa znacznie poważniejszego argumentu. Brzmi on mniej więcej tak: obwieszczając koniec teorii literatury postępuję szczególnie perfidnie, albowiem niszcząc teorię literatury jednocześnie uniemożliwiam depczącej mi po piętach młodzieży ruszenie mnie z posad(y), albowiem nie ma już wspólnego gruntu, na którym, po edypalnej walce, mógłbym zostać zdetronizowany. Ogłoszenie kresu teorii literatury równa się, według Kunza, spaleni za sobą wszystkich mostów, które mogłyby doprowadzić moich następców do konfrontacji, a następnie do zajęcia pozycji przeze mnie teraz zajmowanej. Argument ten nie pojawia się pod piórem Kunza wprost, ale pośrednio, w postaci zacytowanego przezeń fragmentu tekstu Jonathana Cullera, co nie znaczy, że i w tej postaci nie jest ciosem poniżej pasa. Otóż jest. Nigdzie bowiem nie powiadam, że należy wyrzucić tradycyjną wiedzę do kosza i nie przejmować się już tym, co o literaturze powiedzieli na przykład strukturaliści. Nigdzie nie powiedziałem, że na zajęciach teoretycznoliterackich należy deprawować młodych ludzi apokaliptycznymi wieściami o „końcu interpretacji” (deprawują ich głównie historycy literatury wmawiając im, że nie ma interpretacji, są bowiem tylko fakty). Powiedziałem natomiast, i często mówię to moim studentom, że pierwszym przykazaniem kogoś, kto zajmuje się literaturą, jest uważna i interesująca lektura. Tego przede wszystkim należy uczyć na wydziałach filologicznych: uważnej i interesującej lektury. Nie metod samych w sobie, nie teorii, lecz uważności i pasji, którą – uwaga! – wprzód należy mieć w sobie, albowiem nie wiedza tak naprawdę zostanie po nas, ale wspomnienie osobowości. Wiedzę można sobie przyswoić nawet całkiem potężną, natomiast osobowość albo się ma, albo nie i już. Jeśli bowiem cokolwiek można młodemu człowiekowi zabierającemu się do czytania tekstów literackich powiedzieć, to tyle, żeby nie podporządkował się nigdy żadnej metodyce lektury, nieustannie szukając języków (koniecznie w liczbie mnogiej), które pomogą mu w czytaniu i sprawią, że jego własne teksty nie będą śmiertelnie nudnymi rozprawkami polonistycznymi, a on sam nie ugrzęźnie w koleinach naukowego rytuału. Wtedy jednak – uwaga! – samemu nie wolno nudzić czytelnika, który – nie ma co ukrywać – albo w mig zrozumie, na czym to wszystko polega (a studenci rozumieją to coraz częściej), albo mu nie pomoże najdłuższa nawet edukacja. Praw-

Polemiki

dę powiedziawszy, jest to jedyna postać pragmatyzmu, jaką przyjmuję z całym dobrodziejstwem: nie wierzę w jakąkolwiek ustaloną metodykę lektury, co przecież nie znaczy, że odrzucam już istniejące języki, już wypracowane metody. Wręcz przeciwnie. Wykorzystuję je, jak mogę i jak umiem i owego wykorzystywania uczę moich studentów. Nie mogę się jednak zgodzić z metodologicznym zamknięciem, które monopolizuje jeden tylko język opisu. Sformułowałbym mój pogląd bardzo prosto. Wolę być pragmatystą, który naucza wielu różnych języków, nie lekceważąc bezzasadnie żadnego z nich (zasadnie często mi się to zdarza), niż naśmiewać się z języków, których nie rozumiem – tę postawę reprezentuje większość esencjalistów. Zapewniam Cię, Tomku, że „podstawowy cel studiów”, którym „powinno być poznanie metod czytania, umożliwiających maksymalnie wszechstronne obcowanie z tekstem”, łatwiej osiągnąć z pragmatystą niż z esencjalistą (powiedziałbym nawet, że czasem lepiej ten cel z pragmatystą zgubić niż z esencjalistą znaleźć). Pierwszy przynajmniej zrobi to, czego drugiemu się nie chce: postara się zrozumieć kogoś innego. Po twojej lekturze mojego tekstu jestem przekonany, że nie jest to takie proste.